ROK TRZECI.

№ 22

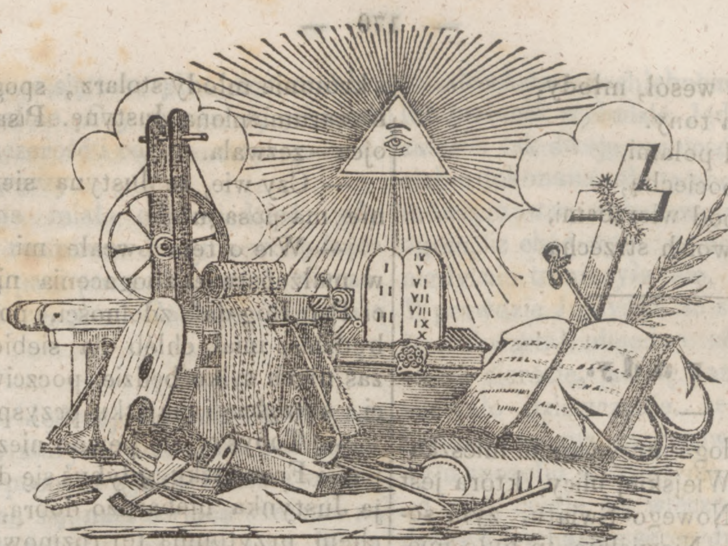
Warszawa

Dnia 18 (30) maja

1858.

Niedziela

Śtéj Trójcy.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

roczuie w Warszawie rsr, 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba. jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmocny a wieczny Boże, któryś Twym wiernym udzielił łaski, iżby w wyznaniu prawdziwej wiary poznali chwałę wiecznéj Trójcy, a w potędze Majestatu oddawali pokłon jedności Bóstwa, prosimy Cię, niech za stałość tejże wiary zasłużymy od wszelkich nieszczęść być ochronieni. (Kollekta na Uroczystość Trójcy Przenajświętszéj).

Na wiosnę.

—

Nad głowami ręka Boża
Już rozbudza wiosnę z łoża:
Jakieś głosy brzmią w naturze,
Rój jaskółek, radość w górze,
Widać wiosny objawienie,
I czuć kwiatów rozbudzenie.

—

Daléj z gniazdka podleć ptaku,
Daléj z chaty wyjdź wieśniaku!
Nad twój odpoczynek w chacie,
Czyż nie milsza ziemia owa,
Uwieńczona jak królowa,
W polnych kwiatów świeżej szacie?
Twój wół tęskni już do roli,
Nad oborę, łąkę woli,
I ten pług, co ziemię orze;
Więc do pracy w Imię Boskie,
Spiewaj, przebiegając wioskę:
Kiedy ranne wstają zorze.

Na warsztatach teraz właśnie
Przy dniu dłuższym świeca gaśnie.
Kiedy w górze zajdzie słońce,
Czeladź widzi pracy końce,
Rzeźwa wstaje od warsztatu,
Niosąc serce i dłoń światu.
Letni promień stopił lody,
Rybak łódkę pchnął na wody,
Orél podniósł z ziemi wiosła,
I spoglądać znów zaczyna
To na rzekę, co go niosła,
To na chatę, gdzie rodzina.
Płyńcie, płyńcie, w dal żeglarze,
Nucąc pieśń świętéj Barbarze;
Niechaj fale was nie straszą,
Opiekunką ona waszą,
Przez bezdroża i przez pole
Dziad wędrowny także z wiosną,
Wyszedł, wlokąc nędzną dolę,
Pośród łąk, gdzie wierzby rosną
Wierzby smutne, co to płaczą,
Pieśń umarłym już oraczom.
A do wierzb cichéj zagrody
Przyszedł uciąć flet zielony,

Chłopiec żwawy, wesół, młody,
I wydobył z fleta tony.
Tony drgały nad polami,
To nadzieją, to pociechą,
Dziadek zasnął pod wierzbami,
Jak pod ojców swoich strzechą.

Złe rady.

—

W skromnem, chędogo utrzymanem mieszkaniu w Warszawie na Wiejskiej ulicy, która jest jakby przedłużeniem Nowego-Światu, żyła sobie rodzina Ranickich. Niewielkie to było mieszkanie: składały je cztery pokoiki, z których jeden na kuchenkę i przedpokój podzielony; ale mimo to, milej tam było wejść, jak do niejednych bogatszych mieszkań, bo wszystko świeciło się czystością i staraniem, podłoga jak nowa, białe u okien firanki, a na oknach kwiaty w doniczkach. W środkowym pokoju siedziała, robiąc siatkę przy stoliczku sama pani Ranicka, nie stara jeszcze, lecz dotknięta od lat kilku niemocą w nogach, która jéj chodzić nie dawała. Z niespokojnością, właściwą ludziom pozbawionym ruchu, wołała, słysząc szmer głosów w przyległym pokoju:

— Justyno, Justyno! kto tam?

Lecz nie usłyszała jéj Justyna pokojówka, więc znowu zaczęła wołać na córkę, która przybiegła z przeciwnej strony i wyjrzawszy do przedpokoju, doniosła matce, że przyszedł czeladnik stolarski i przyniósł obstalowane dla jéj brata pułki do książek.

— A! narzeczony Justyny, rzekła pani Ranicka, nic dziwnego, że się tak z nim zagadała,

Wtem weszła Justyna, ładna dziewczyna, rumiana, uśmiechnięta i świeżo zrobione pułki pokazała pani swojéj. Pułki te świadczyły o zdolnościach robotnika, który je wykonał.

— Czy to twoja robota, panie Franciszku? zapytała gospodyni domu wchodzącego dorodnego chłopaka.

— Moja, pani, i spodziewam się, że lepiej jeszcze potrafię—da Pan Bóg że wkrótce wyzwolonym zostanę, bo właśnie robię teraz szafkę na *majstersztyk*.

— A potem się ożenisz, co?

— Tego pragnę z całego serca, odpowiedział skromnie młody stolarz, spoglądając zpod oka na zarumienioną Justynę. Pisałem już nawet do ojca—zezwala.

— Czy wie, że Justyna sierota i że żadnego nie ma posagu?

— Wie o tem i wcale mi tego nie gani, że w małżeństwie zbogacenia nie szukam. Kiedy ci Pan Bóg dał zdolności, powiada, to pracuj, będziesz miał chléb dla siebie i dla żony; ona zaś niech tylko będzie poczciwa i pracowita, to ci i szczęścia i majątku przysporzy.

— Tobyś ty się pewno niezmiernie zmartwił panie Franciszku, gdybyś się dowiedział, że twoja Justynka niebardzo dobra, zapytała z uśmiechem przytomna téj rozmowie córka pani Ranickiéj, Karolina.

Franciszek spojrzał z zafrasowaniem na Justynę, która w głos się roześmiała.

— Wie pani co, rzekła do panny Karoliny, Franciszek powiedział mi przed chwilą, że gdyby wiedział, żem ja co złego zrobiła, toby się chyba w Wiśle utopił.

— To spodziewam się, że do tego nie przyjdzie, odezwała się dobrotliwie pani Ranicka, zwracając mowę do Franciszka. Justynka twoja jest poczciwa dziewczyna, pełniąca pilnie wszystko, co do niéj należy. Teraz, dopóki mój syn nie wróci, mam tylko ją jednę, a mimo to jestem doskonale usłużona i nie mam potrzeby robienia jéj kiedykolwiek najmniejszej wymówki. Zawsze wesoła, w dobrym humorze, przechodzi od jednej roboty do drugiéj; to też wszystko idzie jéj jak z płatka. Nie szuka po mieście fałszywych przyjaciółek, któreby ją na złą drogę naprowadzić mogły, słucha mnie i wierzy, że ja jestem jéj najlepszą przyjaciółką. Ja ją też kocham jako wierną pomocnicę, która mi wiele trudów życia oszczędza i pamięta o moich wygodach.

Franciszkowi tak było miło słyszeć pochwały Justyny, że z widocznem uszczęśliwieniem przystąpił do pani Ranickiéj i ucałował jéj rękę. Justynka do jéj kolan się skłoniła, a dobra pani wyrzekła nad ich głowami słowa błogosławieństwa.

Gdy wyszli, panna Karolina odezwała się do matki:

— Poczciwa bo też to dziewczyna ta Justyna; rzadko znaleść takiéj drugiéj sługi.

— Ja też czuję, że nam będzie ciężko obejść się bez niéj, bo ona nam bardziej przyjaciółka

niż sługa. Pocieszam się tem tylko, że ten chłopak wart jéj zupełnie. Czy uważałaś, jaka sumienność, jaka szczerość i rozum zarazem maluje się na jego twarzy.

Panna Karolina miała odpowiedzieć, gdy wtem przerwała rozmowę Justyna wchodząca z prośbą, żeby jéj pani pozwoliła pójść wieczorem do ciotki, na co pani Ranicka przystała chętnie.

—

Ciotka Justyny Jędrzejowa mieszkała przy ulicy Chmielnéj w starym domu, na poddaszu, w obszernej izbie pospołu z jakąś rodziną szewcką ubogą, kłócącą się, narzekającą wiecznie na złe czasy, na brak roboty, na ludzi i na Boga. Majster chudy, wysoki, z pożółkłą twarzą i zapadłemi oczyma, rzadko kiedy siedział w domu, majstrowa zwykle wychodziła go szukać i długo nie powracała, a gdy wracali oboje weseli, podchmieleni, trzymając się pod ręce i kiwając głowami, Jędrzejowa wyrzucała im z krzykiem i złością, że zostawiają dzieci głodne, które jéj krzyczą nad głową. Lecz skoro majstrowa wyciągnęła zpod chustki do wpół jeszcze pełną flaszeczkę, wtedy uspokajał się zwolna gniew Jędrzejowéj. Nadąsana jeszcze, a już się uśmiechająca, szukała oczyma kieliszka, i na zgodę przepiła raz i drugi do ściskającego ją małżeństwa. Pogrożono dzieciom, żeby były cicho, rzucono im trochę jeść, jeżeli się w garnuszku znalazło i opowiadano sobie wesoło, co ten i ów mówił w szynku, lub co nowego stało się w mieście. Jędrzejowa trzymała raz z majstrem, drugi raz z jego żoną przeciw niemu; oboje też usiłowali ją zjednać sobie, gdyż do któréj strony się przyłączyła, tej zawsze była wygrana. Chociaż więc co drugi dzień groziła im, że się z nimi rozłączy, siedziała przecież rok trzeci, bo i komorne ją niedrogo kosztowało i gorzałeczka darmo przychodziła, a do téj miała już stary zadawniony nałóg. Licząc już lat pięćdziesiąt zgórą, choć sprytna i zręczna, zawsze przez ten zgubny nałóg była w biedzie i nigdy na służbie miejsca, jak to mówią, nie zagrzała. Porzuciła też służbę ciągłą ze wszystkiem, a utrzymywała się z niestałego zarobku, najmując się czasami do prania, lub szyjąc dla znajomych czepki czy sukienki. Ale nie lubiła bynajmniéj obciążać się robotą. Byłato jedna z tych próżniaczych istot z przemyślną głową, coby chciały żyć kosztem drugich i umieją to radą, to słówkiem pochlebnem tu i owdzie grosz, lub podarek wyłudzić. Jędrzejowa tak umiała się zalecić, tak swoję wynieść zasługę, każdą przez siebie dokonaną robotę pochwalić, słowem, jak to mówią, zawsze upiec swoję pieczeń przy cudzym ogniu, iż choć żyła z dnia na dzień, przecież nigdy nie troszczyła się, co jutro jeść będzie. Wprawdzie Justynka ze swoich zasług udzielała co kwartał niejednę złotówkę owéj biednej ciotce sierocie, jak się nazywała sama, choć się zdawało dziewczynie, że ciotka silna jeszcze i zdrowa i sama zapracowaćby mogła, ale nie było sposobu wyżywienia się. Ciotka pożyczała od niej ciągle na wieczne nieoddanie, a znając dobre i kochające serce Justynki, tak ją umiała zawsze rozczulić, tak jéj wystawić wiek swój podeszły i opuszczenie, tak żałobliwie użalać się sama na swe spracowane kości, że nareszcie rozżaliła siostrzenicę i wyłudziła od niéj, co chciała.

Gdy Justynka weszła teraz do mieszkania swéj jedynéj krewnéj, zastała ją rozmawiającą z jakąś panią, która przyszła upominać się u szewca o swoję robotę.

— Kiedyż go zastać mogę? pytała, już tydzień jak mu dałam dwie pary trzewików do roboty.

Nie wiem, odpowiadała Jędrzejowa, bo to człowiek, co lubi się zabawić.

— A narzekają na nędzę, widzę przecież że nie chcą, żeby się im dobrze działo i na nikogo, tylko na siebie narzekać powinni. Odemnie samej mogliby mieć dużo roboty, gdyby ją tylko na czas wykończali.

— Tacy to ludzie, odpowiedziała Jędrzejowa, odprowadzając przybyłą panią do drzwi, albož to ja im tego codzień nie gadam.

Potem zwracając mowę do przybyłej Justynki, zapytała:

— Cóżeś mi tam przyniosła dziewczę kochane?

— Nic, ciotuniu.

— Nic? to źle, a przecież masz wszystko w ręku.

— Właśnie też dlatego że mam, nie chcę zdradzać pani.

— Ej! co tam, pani panią będzie. Co im tam znaczy trocha herbaty, albo trocha cukru mniéj, ja zaś sieroteńka uboga tembym się pokrzepiła.

— Jednak to się nie godzi.

— Tak panowie mówią, boby chcieli, żeby im nigdy nic nie ubyło, ale kiedy oni wypuszczają z rąk, to dlaczegoż nam nie brać?—trzeba drzeć łyka, kiedy się dają. Będzie temu z dziesięć lat, jakem służyła u jednéj pani, która nigdy nie rachowała swoich pieniędzy. Rzucała ich to po stolikach, to w kieszeniach nosiła rozsypane, tak jakby umyślnie na to, żebym się z nią dzieliła. Ja też to czyniłam tak zręcznie, dodała, uśmiechając się. Mój Boże! jak mi też tam dobrze było.

— Jednak ciotka teraz nic niema.

— Bo już taka dola moja.

— Ja nie chcę robić inaczéj, powiedziała Justynka, a Bóg miłosierny mi pobłogosławi. Będę pani służyć wiernie i pilnie; taka dobra dla mnie, że może mi i wesele wyprawi.

— Któż ci tam każe źle służyć? owszem pracuj, łatwo ci, młoda jesteś; lecz nie będzie w tém grzechu, że jaki kawałek cukru, którybyś sama zjeść miała, odłożysz na stronę dla starej ciotki. Żebyś wiedziała, jaką ja teraz duszność cierpię, tobyś się nademną zmiłowała.

— No, no, pomyśli się o tem, wolę już kupić za swoje pieniądze.

I pożegnała Justynka ciotkę, poczciwa jeszcze w sercu, lecz już zachwiana w swych przekonaniach przez przewrotne jéj rady.

W kilka dni potem, gdy sama pani Ranicka zdrzemnęła się po obiedzie, a panna Karolina wyszła, została na stole prawie pełna cukierniczka. Justynka zapomniała, że choć zdaje się, iż nikogo nie ma i że nikt nie patrzy, to jednak Bóg widzi wszystko. Ona tylko w téj chwili przypomniała sobie prośby ciotki i chcąc jéj dogodzić, wzięła kilka kawałeczków cukru. Zrazu zaczerwieniła się, ręka jéj zadrżała, potem jéj się to wydało tak małe, tak niewinne, zwłaszcza gdy się nikt nie spostrzegł, że z większą jeszcze śmiałością powtórzyła to raz, drugi i trzeci, i już prawie nigdy nie przyszła do ciotki bez podarku, który jéj sumienie coraz to nową obciążał winą.

Tymczasem pani Ranicka potrzebowała wziąć drugą służącą, a sama Justyna wynalazła ją szczęśliwym trafem. Idąc raz za Żelazną-Bramę, postrzegła kobietę z dziecięciem na ręku, płaczącą nie tym płaczem krzykliwym udawanym na to, żeby wzbudzić litość w przechodzących, z jakim spotykamy się tak często na ulicach naszego miasta, że już się na nim znamy cokolwiek, ale temi łzami cichemi, rzewnemi, które płyną dlatego, że ich przepełnione żalem serce powstrzymać nie może. Widać było po téj kobiecie, że się wstydziła swych óczu zapłakanych, a jednak te oczy raz obtarte, napełniały się na nowo, to wznosząc się ku niebu, to spoglądając na ziemię z pognębieniem. Na ten widok przystanęła Justyna i stłumionym od wzruszenia głosem, zapytała jéj o przyczynę łez.

— Nie znam tu nikogo, nie wiem, gdzie się podziać, odpowiedziała.

— Zkądżeście wy przyszli?

— Szesnaście mil ztąd, rzekła kobieta z mazurska. Szłam za mężem, którego wzięto w rekruty, myślałam, że go puszczą, ale gdzie tam! poszedł wraz z drugimi, a ja zostałam samą z tém oto dziecięciem.

Justynka patrzała na nią smutnie i nie odchodziła, bo ją serdeczna brała ochota pomódz jéj w czemkolwiek.

— Czemuż nie wracacie na wieś? zapytała.

— Wróćęć ja tam, rzekła jéj na to kobieta, ale co tam będzie za dola moja, kiedy mnie macocha mężowska pewno z chaty wypędzi.

— Możebyście się tu zgodzili na służbę?

— Któż mnie weźmie z dzieckiem, a ja jego nie opuszczę, choćby mi umrzeć przyszło z niem razem.

— Pójdźcie no do mojéj pani, powiedziała jéj Justynka, ona dobra i pewno da wam jaką radę.

Rozbudziwszy dziecię, które się wnet do niéj uśmiechać zaczęło, poprowadziła Justyna ową kobietę, zowiącą się Pawłową, do swojéj pani, która gdy się z nią rozmówiła i zobaczyła jéj świadectwo od Wójta gminy, ręczące za prawdę jéj słów, zostawiła ją u siebie wraz z dzieckiem i nie miała powodu żałować tego, bo Pawłowa była tak wierna, poczciwa i żwawa do roboty, że pani Ranicka nacieszyć się nią nie mogła i polubiła już prawie tyle co Justynę.

Tak upłynęło przeszło trzy miesiące, aż tu dnia jednego panna Karolina bardzo zakłopotana i zmartwiona, oznajmia wszystkim, że jéj zginął pierścionek z brylancikami, który nietylko był

kosztowny, ale jeszcze miał dla niéj wysoką wartość pamiątki, bo go po babce dostała. Wielkie tedy w domu zamieszanie, wszyscy szukają i trwożą się: sługi, żeby nie być posądzone, państwo, żeby nie potrzebować mieć na kogo posądzenia.

Lecz mija dzień i drugi, pierścionek się nie znajduje, kto go więc mógł wziąć?—juźci nie Justynka, tak dawna, wierna sługa, od sześciu lat w domu będąca. Pierwsze więc domysły padają na nowo przybyłą. Jednak jak jéj to powiedzieć?—ona taka dobra i potulna, taka sumienna się wydaje, że ani podobna wymówić do niéj tego szkaradnego wyrazu: *tyś skradła*. Panna Karolina wolałaby już nigdy nie mieć pierścionka, jak narazić się na podobne poszukiwania; lecz jéj brat powiada, że nie można takiego wypadku pominąć, żeby się nie przekonać, kto w domu na zaufanie nie zasługuje. Idzie więc sam do służących i zapowiada im, że ich rzeczy muszą być przetrząśnięte. Zaczynają się poszukiwania, odsuwają szafki i stoliki i znajdują na wstępie, w jednym kąciku, starannie ukryte, a zawiązane w chusteczce kawałki cukru, małe paczki herbaty i kawy, jaja, sól i tym podobne do jedzenia przedmioty.

— Oto są dowody, że tu jest złodziéj, zawołał z oburzeniem pan Ranicki.

— Ja tego nie wzięłam, powiedziała spokojnie i śmiało, tuż będąca Pawłowa—niech mi Bóg świadkiem będzie.

— Więc rzucasz podejrzenie na dziewczynę, któréj uczciwości ja tak jestem pewna, jak własnéj, która tak długo już jest pod moim dachem, a ciągle zasługiwała na moję przychylność, odezwała się z drugiego pokoju pani Ranicka.

— Ja nic nie mówię, ale wiem, żem tego nie wzięła.

— Zobaczy mama, że my tu dojdziemy i do pierścionka, rzekł syn. Widzę, że ona nas myśli zwieść hardemi odpowiedziami, lecz może nie wiesz kochanko, że w Warszawie są różne środki na złodziejów.

Na te wyrazy Pawłowa zbladła okropnie, jednak powtarzała zawsze jakkolwiek bolesnym głosem, że nic nigdy nikomu nie ukradła.

Gdy cały dom przetrząśnięto, a pierścionek się nie znalazł, pan Ranicki zagroził Pawłowéj policyą i nawet mimo próśb matki i córki posłał ją na ratusz.

— Nie przyznasz się? pytał jéj raz jeszcze pan Ranicki.

— Nie mogę się przyznać do tego, czegom nie zrobiła.

— Będziemy to wiedzieli, odpowiedziano jéj i wzięto na ratusz pozornie obojętną, lecz drżącą od strachu i wzruszenia.

Gdy skrzypnęły drzwi zamykające się za wychodzącymi, Justyna będąca wtedy przy pani Ranickiéj, upuściła z rąk kłębek z nićmi, który jéj podać miała, potem zamiast żądanéj szklanki wody, przyniosła jéj pióro i kałamarz.

— Co ci jest Justynko, że się tak zapominasz? zapytała pani.

Justyna zbladła i cofnęła się ku drzwiom, bo już w pytaniu i w głosie swéj pani zdawało jéj się słyszéć posądzenie.

Wyszła do kuchni, w któréj się jéj tak pusto i cicho od czasu wyjścia Pawłowéj wydało, a wtem z kąta zawołał synek jéj płaczący: Mama, mama, gdzie mama?

To zapytanie nieświadomego dziecka, które zdawało się u niéj o matkę upominać, o matkę przez nią na sromotę wydaną, do reszty pognębiło Justynę. Zaczęła płakać rzewnie, i tak płacząc i szlochając, poszła upaść do nóg pani, wyjąkawszy:

— Pawłowa niewinna, Pawłowa niewinna!

— Któż więc? zapytały razem zdziwione i pani i panna.

— To ja brałam dla ciotki ten cukier i tę herbatę, ja zbierałam i wynosiłam, ja, ja myślałam... ach! pani, rób co chcesz ze mną, lecz niech się tylko o tem nie dowie Franciszek.

— Ty więc i pierścionek wzięłaś nieszczęsna.

— Nie, ja pierścionka nie wzięłam, on musi tu być w domu koniecznie.

Wtem panna Karolina krzyknęła i poskoczyła do fortepianu, jakby jaką nagłą myślą rażona. Otworzyła go spiesznie i zaczęła szukać, przypomniało się jéj bowiem, że kto wie, czy raz grając, nie zsunęła go z palca, kiedy jéj zawadzał. Pokazało się, że tak było w istocie, gdyż znalazł się w głębi fortepianu pierścionek, a panna Karolina łzami się zalała, widząc jakiego zamieszania w domu narobiło jéj zapomnienie. Jęła także całować matkę po rękach, prosząc, żeby darowała Justynie i posłała czemprędzéj po Pawłowę. Przyrzekła, że przez całe życie o téj ostatniéj pamiętać będzie, gdyż nigdy darować sobie nie

potrafi krzywdy i wstydu, jaki ona przez nią poniosła.

Ten przykry wypadek wyszedł jednak na dobre Justynie, bo ją powstrzymał na złéj drodze, która zwykle bywa jak śliska ścieszka po spadzistéj górze, gdzie raz stąpiwszy, już zatrzymać się trudno i bieży się, nie mając prawie czasu nad tém pomyśleć, aż się padnie na sam dół, gdzie kałuża występku. Justyna tyle przecierpiała w dniu tym, że jéj to starczyło za naukę na całe życie. Poznała, że nie można wchodzić w układy z sumieniem, że złe zawsze się złem nazywa i że każda kradzież, kradzieżą, a choćby się do najmniejszego ściągała przedmiotu, nigdy nie jest niewinna. Pani uczyniła jéj wiele zbawiennych przestróg w téj mierze i zachowała ją nadal u siebie w obowiązku, okazując jéj tę samą ufność, któréj już nigdy więcéj nie zdradziła. Franciszek nic a nic o całem wydarzeniu się nie dowiedział, tylko kiedy w rok potem pani Ranicka wydawała za niego Justynkę, szepnęła mu, żeby niebardzo dozwalał swojéj żonie przestawać z ciotką, i że jakkolwiek to bliska krewna, jednak ją unikać wypada, jeżeli ją poprawić niepodobna; bo nie ma nic zgubniejszego dla młodéj kobiety, jak złe rady przewrotnej towarzyszki.

Wychów zwierząt.

III.

(Patrz nr 15 Czytelni).

—

O fałszywem nazwaniu chorób zwierzęcych i o skutkach z nienależytego udzielania pomocy tymże, w naglących razach.

Bardzo często się zdarza, że konie i bydło rogate z rozmaitych przyczyn podlega gwałtownym chorobom, wymagającym wczesnego ratunku; inaczej bowiem przybierać zwykły charakter niebezpieczny i nawet śmierć za sobą pociągają.

Choroby te znane są u wiejskiego ludu i furmanów pod niewłaściwą a zwykłą nazwą: *Paskudnik* czyli *proch*, *myszy*, *wąsacz* i *żaby*.

Każda z pomienionych chorób ma wszakże właściwe swe nazwanie i jest co do swéj gwałtowności bardzo ważna, bo zwierzę niemi dotknięte i bez należytego dania ratunku pozostawione, najczęściéj życie utraca.

Lecz pomoc, jaką zwierzęciu w podobnych wypadkach dać należy, powinna być zawsze opartą na doświadczeniu i na ludzkiem obchodzeniu się z niem. Tymczasem praktykują się w tem oddawna takie zdrożności ze strony ludzi niefachowych a chciwych grosza, iż patrząc na to, dusza się wzdryga. Niedość, że ci bezbożni doradcy niedbający o miłość bliźniego, korzystając z cudzego wypadku, niegodziwém swém postępowaniem, męczą bezpotrzebnie biedne zwierzę, nadto jeszcze kaleczą je nieraz do takiego stopnia, że ono nietylko traci na swéj rzeczywistej wartości, ale nawet całkiem niszczeje i do pracy staje się niezdolnem.

Takich więc szkodliwych ludzi zawsze unikać trzeba i ani ich rad, ani też żadnéj pomocy od nich nie przyjmować; w przeciwnym razie właściciel zwierzęcia sam sobie winę przypisze, jeżeli z tego powodu pozbawionym zostanie możności użytkowania z niego, lub szkodę przez utratę zwierzęcia poniesie.

Zastanówmy się bliżej nad karygodnem postępowaniem owych niecnych doradców, przy każdej z powyższych chorób w szczególności:

1. *Paskudnik* czyli *proch*. Choroba niniejsza przytrafia się często pomiędzy końmi i bydłem rogatem.

U pierwszych zowie się właściwie: *kolką kiszkową*, *morzyskiem* czyli *boleścią brzucha*. Zwierzę wtedy często pokłada się na ziemię, grzebie przedniemi nogami, okazuje niespokojność, spogląda na brzuch, nie żre nic i nie pije, a niekiedy brzuch jest mocno wzdęty.

U bydła choroba ta objawia się przez *wzdęcie bębniste brzucha*, z powodu zbytniego nagromadzenia gazów (powietrza) w pierwszym żołądku zwanym *torbą*, *pakownikiem* i największym z reszty żołądków; gdyż zwierzęta przeżuwające czyli żujące mają ich cztery, to jest: 1szy *torba*, 2gi *czepiec*, 3ci *księga*, a 4ty *szlaz*. Dopiero namienione wzdęcie bywa tak gwałtowne, że cały brzuch i skóra są jak bęben wyprężone. Zwierzę przytem oddycha z trudnością, nozdrza ma rozwarte, wzrok dziki, osłupiały, oczy na wierzch łba wysadzone, staje z rozkraczonemi nogami jakby skostniałe i zaledwie z miejsca ruszyć się może, ryczy, stęka i t. p.

Udani znawcy spostrzegłszy powyższe objawy chorobliwe u bydlęcia lub konia, doradzają zaraz i zwykle sami, bez najmniejszego zastanowienia się przystępują do zdjęcia owego paskudnika czyli prochu, a który wedle ich fałszywego mniemania, w oczach bydląt ma mieć swe siedlisko.

Operacyę tę wykonywają następującym barbarzyńskim sposobem:

Uchwyciwszy igłą z nawleczoną nicią, błonę chrząstkowatą, zasuwalną oka, zwaną *nogciem*, leżącą w wewnętrznym kącie tegoż, która z powodu zbytniego nagromadzenia się powietrza w żołądku, przez napływ krwi do łba, nieco naprzód oka się wysuwa, wyciągają ją bardziéj na zewnątrz i odrzynają, poczem wkładają w kąt oka trochę soli, szczyptę tabaki, lub kawałek sinego kamienia.

Niedorzeczne postępowanie tego rodzaju pociąga za sobą dwojakie złe: raz, że oko pozbawionem zostaje części ciała, którą Opatrzność utworzyła dlatego, aby nie dopuścić i usunąć obce przedmioty, jeżeli te dostają się wypadkiem w oko; powtóre, że przez wkładanie w oczy soli, tabaki, lub sinego kamienia, te łatwo się zaogniają i bardzo często oślepnienie zwierzęcia sprawiają.

Jaka ztąd powstaje strata dla właściciela bydlęcia, każdy z łatwością pojmie.

Obok zdejmowania paskudnika, udani znawcy rozcierają jeszcze nozdrze solą do krwi, przez co błony tychże mocno obrzmiewają i tamują oddech zwierzęciu, niekiedy nawet, utworzone ztąd rany zamieniają się w złośliwe długo-trwałe wrzody.

Na cóż więc uciekać się do tyle szkodliwéj pomocy szarlatanów, mało lub wcale nic nie skutkującéj, a częstokroć okaleczenie, zeszpecenie lub śmierć zwierzęciu przyspieszającéj, gdy przecież mamy tyle innych środków leczących weterynaryjnych prostych, domowych, mało kosztownych, zawsze prawie pomyślny skutek przynoszących, byleby je tylko wcześnie przedsiębrano — temi są:

Dla koni. Odgotować nietłuczonego siemienia lnianego ze stosowną ilością wody, aż się ta klejkowatą okaże, poczem przecedzić i po wystudzeniu zadawać po kwarcie na raz, powtarzając taką ilość co godzinę; albo do pół kwarty tego klejkiego odwaru przymieszać drugie pół kwarty wody, w któréj naparzono rumianek, dodać łyżkę stołową soli glauberskiéj i po dobrem kilkokrotnem zmieszaniu, użyć jak wyżéj (1). Obok tego dawać enemy co pół godziny, złożone z kwarty ciepłéj wody, dobréj szczypty soli i półkwaterka oleju lnianego lub rzepakowego.

Zaraz w początkach choroby, natrzeć brzuch zwierzęcia terpentyną w ilości pary łyżek stołowych, przytem rozcierać go skręconemi wiechciami ze słomy, okryć konia derami, umieścić w ciepłéj stajni na obfitej podściółce i często, lecz zwolna go po dworzu przeprowadzać.

W uporczywych razach i dłuższém kilko-godzinnem już trwaniu choroby trzeba koniowi upuścić dwie kwarty krwi z żyły szyjowéj. Gdy wszystko to nie pomaga i choroba wciąż w jednakim jest stanie, postarać się śpiesznie zawezwać weterynarza, jeżeli takowy mieszka gdzie w bliskości, aby dalszéj udzielił pomocy, lub przynajmniéj zastosować się w leczeniu do jakiego dobrego weterynaryjnego dzieła.

Sposoby ratowania bydła nagle wzdętego, są następujące:

1. Okiełznać chore bydlę, to jest włożyć mu w pysk powrósło lub postronek, zawiązać go w tyle łba na szyi poza uszami, przez co zwierzę ciągle żuć musi i tym sposobem powietrze z żołądka uchodzi.

2. Zlewać powierzchnię skóry zimną wodą, a latem do wody wprowadzać.

3. Rozcierać brzuch, szczególniéj lewy bok, skręconym wiechciem ze słomy i przeprowadzać bydlę zwolna.

4. Wziąć 2 lub 3 łuty niegaszonego wapna, rozpuścić w 2ch kwartach miękkiéj wody, przymieszać do tego kilka łyżek stołowych jakiéjkolwiek mąki i kwaterkę wódki, a po należytem zamieszaniu, wlać wszystko w gardło bydlęciu.

Skutecznemi okazały się także:

5. Ług sporządzony z odgotowania popiołu, przecedzony i po kwarcie na raz z kwaterką wódki tęgiéj zadany.

6. Ług mydlarski, pół kwarty na raz, z półtoréj kwarty wody i kwaterką wódki.

(1) Zwraca się uwaga, iżby lekarstw płynnych zadawanych zwierzętom nie wlewano przez nozdrze, jak to mylnie wielu czyni, oraz iżby wlewanie dopełniać zwolna w pewnych przestankach; w przeciwnym razie może nastąpić zakrztuszenie się, zapalenie płuc, a nawet śmierć przez zatamowanie oddechu, skutkiem dostania się lekarstwa wprost do płuc.

7. Mydło szare lub białe ćwierć funta rozpuszczone w dwóch kwartach ciepłej miękkiej wody, z dolaniem kwaterki wódki.

8. Ocet winny, kwaterką na raz zadany — wreszcie

9. Uryna bydlęca cuchnąca, lub gnojówka przecedzona, kwartę albo pół garnca na każde danie z kwaterką wódki.

Wszystkie dopiero namienione lekarstwa trzeba w miarę potrzeby powtarzać co pół godziny, a nawet co kwadrans.

Gdzie w bliskości znajduje się apteka, to wziąć z niéj dla zadania choremu bydlęciu następujące lekarstwa: np.

Oleju skalnego (Oleum petrae) $\frac{1}{4}$ do pół łuta na raz, do tego przymieszać 2 kwarty wody i kwaterkę wódki; albo

Wątrobnika siarczanego (Hepar Sulphuris) łut jeden na raz rozpuszczonego w 2ch kwartach wody z dodaniem kwaterki wódki — lub też:

Rozciek ammonii gryzącéj (Liquor ammonii caustici). Na jedno danie bierze się tego rozcieku jednę lub dwie łyżki stołowe z pół kwartą zimnéj wody bez przymieszania wódki. Lekarstwo ostatnie powtarza się co 10 minut dotąd, dopóki skutek odpowiedni nie nastąpi.

W razie gdy wszystkie tu podane leki nie będą w stanie usunąć choroby, wówczas nie pozostaje nic innego dla uratowania wzdętego bydlęcia, jak przebicie żołądka za pomocą *trójgrańca* (trokaru), którą to operacyę tylko weterynarz, lub doświadczony w tem agronom należycie wykonać potrafi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Stopka Królowéj Jadwigi.

Na przedmieściu Krakowa zwanem *Piasek*, przez półtrzecia blisko wieku, założony przez Władysława Hermana stał niedokończony kościół Nawiedzenia N. Panny OO. Karmelitów. Świątobliwa Królowa Jadwiga skłoniła męża swego Władysława Jagiełłę w r. 1390, aby téj świątyni budowę ukończył. Sama dokładała wszelkich starań w tych świętych zamiarach, i ztąd często przybywała tutaj, a krzątając się między pracującymi, to miłém słówkiem, to datkiem zachęcała ich do spiesznej roboty. Nie jak królowa, ale jako staranna i rządna gospodyni nadzorowała pracę, ciesząc się wznoszącemi się coraz murami kościoła.

Tak dozorując i chodząc po obszernem podwórzu, zwalawszy sobie trzewiki wapnem, sparła nogę na leżącym kamieniu, a gdy jeden z kamieniarzy oczyszczał jéj trzewik, ona z tą dobrocią, co ośmiela i zarazem poufali, wdała się z nim w rozmowę i w niéj dowiedziała się, że pomimo najusilniejszéj pracy, nie zarobi tyle, ile mu potrzeba na utrzymanie niedołężnego ojca, chorej żony i małych dzieci. Litością przejęta zdjęła pierścień i darowała ubogiemu robotnikowi, mówiąc: pracuj i módl się, a Bóg cię nie opuści.

Gdy odeszła, kamieniarz wzniósł modlitwę błagającą Boga o błogosławieństwo dla królowej, a otarłszy oczy z łez wdzięczności, spostrzegł ślad jéj stopy oznaczony wapnem na kamieniu. Na widok ten, powziął szczęśliwą myśl wykucia téj stopy, a obok niéj roku tego zdarzenia 1390.

Kamień ten w zewnętrznej ścianie kościoła wmurowanym przy drzwiach wchodowych został, co dozwalało wdzięcznemu kamieniarzowi w każdej porze dnia całować tę stopkę Królowej Jadwigi, z której datkiem zawitało w dom jego błogosławieństwo Boże.

Za jego przykładem czynili toż samo nietylko jak on obdarzeni, ale i ci, którzy podziwiając poświęcenie Jadwigi dla wiary i ojczyzny, uwielbiali tę królowę. Gdy po jéj śmierci w r. 1399 wydarzyły się liczne cuda na jej grobie, wtedy lud Krakowski uważać ją zaczął za swą orędowniczkę, a ślad jéj stopy całował jak jaką relikwiję.

W 250 lat później, w r. 1657 szwedzi, co krwią i pożarami napełnili całą Polskę, zburzyli ten kościół i kaplicę, z obawy, aby z tych murów polacy nie mogli strzelać do nich, gdy się będą bronić w Krakowie. Po wypędzeniu szwedów i uprzątnieniu gruzów, ukazał się kamień z stopką królowej, lecz z odbitym kawałkiem, na którym był rok wykuty. Wmurowano go więc w narożnik kaplicy i wykuto nanowo, jak był pierwej rok 1390.

Kamień ten pozostał, wrócił dawny zwyczaj całowania stopki królowej Jadwigi, której pamięć cały Kraków wraz z okolicznym ludem w żywej pamięci i w podaniach swoich dotąd zachował.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 13 (25) maja 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.